

Dlaczego nie obchodzę Halloween?



Odkąd tylko sięgam pamięcią, 1 listopada rodzice zabierali mnie na groby bliskich. Pobudka wczesnie rano, żeby uniknąć tłumów, dosypianie w samochodzie, kupowanie kwiatów, palenie zniczy, potem często jeszcze pańska skórka i obwarzanki, a po powrocie do domu gorąca herbata i odsypianie.

Taką tradycję przejęłam i ja, w tym roku po raz kolejny wybiorę się z moim mężem i z moim dzieckiem, aby na chwilę się zadumać, pomyśleć o naszych bliskich zmarłych, pomodlić się za nich. Wiem, że to niemodne i wstyd się w dzisiejszych czasach przyznawać – jesteśmy ludźmi wierzącymi. Nie walczącymi pod krzyżem fanatykami i nie babciami w moherowych beretach, po prostu wierzącymi. Może dlatego nasze polskie, katolickie tradycje są nam tak bliskie i jesteśmy do nich przywiązani, bo kształtowały i spajały nas w rodzinnych domach, a teraz są budulcem rodziny, którą wspólnie tworzymy.

Od kilkunastu lat w ten spokojny, pełen refleksji okres przełomu października i listopada szturmem wdarła się też inna

tradycja, przez wielu nazywana również świętem – amerykańskie Halloween. Tradycja bardzo radosna i śmieszna, połączona z zabawą i przebieraną imprezą – czymś, co zawsze uwielbiałam. Co więc mi w niej przeszkadza? Co w końcu może być irytującego w nieszkodliwym sposobie na umilenie sobie jesiennych dni? Pech chciał, że święto Wszystkich Świętych koliduje w czasie z Halloween. Że wszystkie te na pewno fantastyczne i przezabawne przebierane imprezy organizowane są dokładnie w weekend, który w moim zamyśle zawsze był weekendem pełnym wyciszenia, zamyślenia i refleksji.

Pełgający ogień zawsze oznaczał dla mnie palące się na grobach znicze, a nie wydrążoną dynię z wrytym na dyniowej twarzy grymasem (choć akurat ten aspekt Halloween uważam za najbardziej sympatyczny i klimatyczny). Zmarli kojarzyli mi się z moimi bliskimi, których już z nami nie ma, a nie z kościotrupami i zakrwawionymi monstrami, za które można się w tych dniach przebrać. Słodczyce w tym czasie były dla mnie wspomnianą pańską skórką czy ryżową kulką pod cmentarzem, a nie cukierkami rozdawanymi od domu do domu w ramach *trick or treat*.

Nie neguję i nie potępiam tych, którym Halloween sprawia radość i którzy z ekscytacją w oczach co roku tę dynię wydrążają (masa roboty swoją drogą, podziwiam!), przebierają się i rozdają cukierki (to chyba bardziej pozostawia się dzieciom?). Ja nie umiem się do tego przekonać. Nie potrafię pogodzić wieczorno-nocnej imprezy z wczesno-porannym wyruszeniem na cmentarz następnego dnia, tak jak nie potrafię pogodzić hucznej muzyki i imprezowego nastroju z modlitwą i zadumą. Nie dla mnie takie przeskoki.

Od dłuższego już czasu zastanawiam się też, co zrobię, kiedy za kilka lat moje dziecko poprosi mnie o uszycie lub kupienie kostiumu i zaopatrzenie w torbę *cuksów*, bo kolega, przedszkole lub szkoła organizuje Halloween. Nie sądzę, żebym potrafiła mu odmówić, bo też nie uważam, żeby miała to być zbrodnia przeciwko ludzkości. Ale wiem, że czeka mnie wtedy wyzwanie, któremu do tej pory nie umiałam sprostać: pogodzenia tradycji z nowoczesnością, akceptacji zmian i utraty części duszy i tożsamości na rzecz obcych mi wartości.

Czy podołam? Zapewne rzeczywistość nie pozostawi mi wyboru. Albo, tak jak wielu innych rzeczy, nauczy mnie tego moje dziecko.

